

STANISŁÓWKA 1944 - 2019

Autor: Aleksander Szumanski
30.04.2019.

STANISŁÓWKA 1944 - 2019

Wasył Sydor, ps. "Szelest" dowódca UPA na terenie Małopolski Wschodniej rozkazuje: "Nieustannie uderzać w Polaków aż do wyniszczenia ich do ostatniego z tych ziem. W niektórych przypadkach wezwać Polaków do terminowego opuszczenia ziem ukraińskich." Pierwsze ulotki UPA w powiecie żółkiewskim, pojawiają się 4 kwietnia 1944 roku. Są m.in. rozrzucone i przybijane na drzwiach domów polskich mieszkańców Mostów Wielkich... Zaczyna się ostateczna rozprawa z "cużeńcami" (obcymi). Znikają i giną przedstawiciele miejscowych elit: księża, leśnicy, nauczyciele i studenci. Płoną polskie wioski i przysiółki. Kto żyw ucieka do Stanisławki. Mieszkańcy tej czysto polskiej, przez Ukraińców nazywanej "mazurską" wsią przyjmują wszystkich uciekinierów: sąsiadów z okolicznych spalonych wsi, pogorzalców z Wołynia a nawet żydowskich uciekinierów z getta. Piękne świadectwo jednego z nich znajdujemy w książce "Children of the Holocaust Speak..." ("Dzieci Holokaustu mówią...").

Tym świadectwem jest relacja jaką złożył Naftali Karg (po wojnie Karol Galiński): "...W jednym z domów poprosiliśmy coś do jedzenia i żeby nam wskazano drogę do Stanisławki... Stara kobieta rozplakała się nad nami mówiąc: "Co oni z wami robią, jak się Boga nie boją". Ukryliśmy się w Stanisławce... Po niedługim czasie napadła na wioskę (mieszkali tam tylko Polacy) banda ukraińska... W napadzie bandytów spod znaku "Trizuba" - Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA) zginęło kilkanaście osób, a połowa wioski spłonęła... Nazajutrz wioski nie poznałem, sterczały tylko kominy i lekko dymiły zgliszcza. Oto straciłem wioskę, w której miałem oparcie. W tych tragicznych dniach mieszkańcy Stanisławki sięgają po broń. "Nie miałem butów, ale miałem szablę po ojcu, z którą chodziłem w nocy na wartę" - tak relacjonował ówczesną sytuację jeden z partyzantów.

Ochotnikami (ze wszech stron otoczonej przez ukraińskie siedliska) ostatniej ostoji polskości, dowodzi weteran 26. Lwowskiego Pułku Piechoty - kpr. Wieczorek. Wraz z napływem kolejnych uchodźców oraz zapędami banderowców sytuacja osamotnionej Samoobrony staje się z dnia na dzień dramatyczna, brakuje wszystkiego: broni, amunicji, ubrań, opatrunków i jedzenia. W takich okolicznościach miejscowy ksiądz - Aleksander Kozieł, wyrusza do Lwowa. Po wielu perypetiach dociera do Semper Fidelis "Zawsze Wiernego" miasta i nawiązuje kontakty z dowództwem Armii Krajowej, która po długich dywagacjach wysyła do Stanisławki swego najlepszego człowieka - por. Onufrego Kuźniara, ps. "Popiel" (odznaczony Orderem Wojennym Virtuti Militari i aż czterokrotnie Krzyżem Walecznych) wraz z garstką żołnierzy lwowskiego Kedywu AK. W drodze do Stanisławki "Popiel" podejmuje ryzykowną decyzję: "Musimy zlikwidować najgorszych niemieckich i ukraińskich rzeźników w powiecie i zdobyć broń oraz wyposażenie wojskowe dla naszych ludzi w Stanisławce - rozbijamy KRIPO w Żółkwi!"

Garstka najodważniejszych partyzantów ze Stanisławki jest już na miejscu i obstawia całą akcję, zaś dziesięciu straceńców ze Lwowa wjeżdża do Żółkwi... skradzionym Niemcom samochodem. Zastępca "Popiela" - sierżant "Żbik" wybija szybę posterunku za pomocą jedyne go będącego na stanie Rkm-u i stawia strażników pod ścianą! Komendant "Popiel" wyważa drzwi i wchodzi na teren posterunku z grupą likwidacyjną. Wszyscy Kripowcy giną na miejscu. Zdobycz na tamte czasy ogromna:

4 Pmy, 6 KB i 4 pistolety, skrzynia amunicji, akta Kripo, maszyna do pisania i nowe sorty mundurowe. Natychmiast po akcji cały zespół wyrusza do Stanisławki. Oddział prowadzi przewodnik przez odludzia, bagna i lasy, tak aby uniknąć kontaktu z niemiecką obławą i wszechobecnymi patrolami UPA. Po wielogodzinnym, forsownym marszu obdarci, ubłoceni i wyczerpani żołnierze osiągają cel. Ten moment w następujący sposób opisał Komendant "Popiel": "Dowleliśmy się do Stanisławki, z wyglądu jak kolonia dziadów kalwaryjskich. Zapewne stanisławieckich ludzi mogła ogarnąć wątpliwość, co to z nas będą za obrońcy dla ich wsi, skoro sami potrzebujemy pomocy?" Porucznik Kuźniar przystępuje jednak do energicznych działań: zamienia wieś w twierdzę nie do zdobycia. Wszędzie pojawiają się rowy strzeleckie i okopy, teren wsi zostaje otoczony umocnieniami i zasiekami z drutów kolczastych. Poszczególne posterunki i wartownie wokół wsi otrzymują połączenie telefoniczne. Murowany folwark i pałac Barona Eustachego Horocha zostaje przekształcony na bazę noclegową dla partyzantów a obory i stajnie na pomieszczenia schronowe dla ludności cywilnej. W oknach pojawiają się stanowiska ogniowe i gniazda broni maszynowej. Na wypadek dłuższego oblężenia przygotowano duże zapasy żywności i wody. Stanisławka przypomina obóz warowny w Zbarażu opisany w trylogii Henryka Sienkiewicza. Takim sposobem Stanisławka staje się przysłowiową "solą w oku" ukraińskich faszystów, którzy kilkakrotnie ponawiają próby jej zdobycia - każdy atak zostaje jednak odparty. Mało tego, obrońcy wysyłają dobrze uzbrojone patrole na bojowe wypadki, likwidując przy tym

poszczególnych ukraińskich ultranacjonalistycznych liderów, niemieckich okupantów i kolaborantów z Dywizji SS Galizien. Wydawało by się jednak, że obłożona ze wszech stron Stanisłówka i garstka jej obrońców nie ma szans na dłuższe przetrwanie, ale ... 6 kwietnia 1944 r. nadchodzi odsiecz ze Lwowa. Niespełna 30 żołnierzy Narodowej Organizacji Wojskowej (NOW) - elewów lwowskiej podchorążówki wyrusza do boju! Dowodzi nimi porucznik Jacek Lisowski, ps. "Orda". Zbiórka ochotników odbywa się na Cmentarzu Janowskim we Lwowie. Tam oddział odbiera broń i rusza do Stanisłówki - likwidując po drodze niemieckie placówki i banderowskie patrole. Na kilka dni przed bitwą docierają do Stanisłówki. Przynoszą zapasy tak bardzo potrzebnej broni i amunicji a ich szaleńcza wręcz postawa podczas obrony Stanisłówki służy przykładem dla towarzyszy broni z Armii Krajowej. Większość z nich ginie w późniejszych bojach, lub zostaje zamordowana w sowieckich oraz komunistycznych kazamatach już po wojnie. Tymczasem dowództwo lwowskiej Armii Krajowej zarządza koncentrację wszystkich Oddziałów Leśnych w Lasach Janowskich. Porucznik "Popiel" ma doprowadzić swoich ludzi na 16 kwietnia 1944 roku w rejon koncentracji. Co robić, jak pozostawić Stanisłówkę bez obrony?

Ale rozkaz rozkazem - musi zostać wykonany. We wsi zostaje mała grupa partyzantów a reszta udaje się na zbiórkę do nieodległego lasu. Za nimi podąża kilka miejscowych dziewcząt z prośbą o przyjęcie do Armii Krajowej i... koszem jaj i wędlin. Chcąc nie chcąc dowódca zarządza krótki postój w celu spożycia ostatniej wieczerzy na tej tak gościnnej - polskiej ziemi. Zbliżał się wieczór 14 kwietnia 1944 roku. Partyzanci po tej obfitej kolacji zbierają się do wymarszu na koncentrację, ale z telefonu polowego dzwoni czujka: "alarm, alarm: od strony Butyn zbliża się duża grupa ludzi w niemieckich mundurach, wielu w parkach jakie noszą członkowie Dywizji SS Galizien, widzę również gromadę cywili z koszami i workami na plechach". Komendant "Popiel" natychmiast wysyła zwiad: patrolom dowodzi sierż. "Żbik" na swojej wiernej kobylce "Baśce". Po chwili odzywają się krótkie serie z "pepesz" i dudnienie "pił" - niemieckich karabinów maszynowych MG 42. Z patrolu wraca jeden partyzant i melduje: "Konie ubite, "Żbik" ciężko ranny, zwiad rozbity - to banderowcy! Tak się zaczęła bitwa o Stanisłówkę. Pierwszy impet natarcia powstrzymuje kadet Adam Popiel ps. "Orkan", który pomimo postrzału w głowę utrzymuje stanowisko z grupką kolegów. Banderowcy wdzierają się jednak do pierwszych zagród mordując przy tym wszystkich napotkanych mieszkańców. We wsi wybucha panika, zewsząd słychać wrzaski banderowców, płacz kobiet, skowyt małych dzieci, ryk płonącego bydła i wściekłe ujadanie psów... oto nastał dzień sądny - oto koniec. Ale to nie koniec, to dopiero początek: Komendant "Popiel" w mig rozdziela oddział na dwie grupy szturmowe i zarządza atak na tyły atakujących. Wzięci w ogień z trzech stron banderowcy wpadają w amok. Ginią pod celnymi strzałami partyzantów, przebijani bagnietami w walce wręcz i w końcu po obrzuceniu granatami dają pola. "Heroje" rozbiegają się na wszystkie strony pozostawiając ogromną ilość rannych i poległych na polu bitwy.

Podstępny atak trzech wołyńskich sotni UPA, SS-manów z Dywizji "Hałczyzna" oraz członków lokalnych band na jedną z ostatnich polskich redut w woj. Lwowskim został odparty - napastnicy ponieśli sromotną klęskę! W złości z oddala ostrzeliwują wieś amunicją zapalającą, przez co połowa wsi staje w płomieniach, ale ludność cywilna jest uratowana. Polegli jako pierwsi w boju ochotnicy z Wołynia: Izydor Cioch i Edward Dyl, zostają pochowani z wszelkimi honorami pod krzyżem na rozstaju dróg a pomordowani mieszkańcy pod progami swych domów. Oni spoczywają tam do dzisiaj...

Tymczasem do wsi wjeżdża zaalarmowana przez posłańców kolumna Wehrmachtu. Z pierwszego pojazdu wyskakuje wysoki i przystojny oficer i widząc ogrom zniszczeń przemawia ku ogólnemu zdziwieniu po polsku: "Ludzie, czemu się nie broniliście? Jo bym bił tych bandziorów!"; Jeden z miejscowych batiarów odpowiada: "A jak mieliśmy się bić jak my broni nie mamy, przecież posiadanie broni jest nielegalne?"; W tej chwili na twarzy Ślązaka (jak się później okazało) pojawia się szeroki uśmiech: "Chciał bym mieć tyła pieniędzy, co wy broni i amunicji"; Po chwili por. Kuźniar dobija targu z niemieckim oficerem: dajemy wam świniaka i konkretną łapówkę a wy jedziecie na szpicy ewakuacji wszystkich ludzi do Żółtkwi. Moi ludzie będą w taborach i jak bandery nas spróbują zatrzymać to my walimy, a wy nic nie widzicie... Takim sposobem nad ranem 15 kwietnia rozpoczęła się ewakuacja mieszkańców Stanisłówki do grodu założonego przez hetmana Stanisława Żółkiewskiego. Kolumna składająca się z kilkuset wozów, ponad tysiąca cywili i ogromnego stada bydła, rozciągająca się na kilka kilometrów została ponownie zaatakowana przez oddziały UPA i dezertersów z Dywizji SS Galizien w sąsiedniej wiosce - w Bojańcu. Zbrodniarze zaprawieni w mordach na starcach, kobietach i dzieciach nie spodziewali się, że w kolumnie cywili znajdują się uzbrojeni po zęby partyzanci lwowskiego okręgu AK. Banderowcy dostali solidne "baty" i zostali zmuszeni do przepuszczenia kolumny, której tyły osłaniał nieustraszony "Brzask" (Władysław Bryk) z kilkoma kolegami. Uzbrojony w broń krótką i granaty ręczne prowadził ukochaną klacz i źrebię, które opóźniało marsz całej kolumny, przez co pozostał daleko w tyle. Na rogatkach Bojańca dopadł go nieznan z imienia i nazwiska Ukrainiec mówiąc: "Szybciej, szybciej! Nie wlecz się Pan z tymi konikami, dołączaj Pan do swoich,

bo za zakrętem już na Pana ostrzą nożem!” Ten porządny człowiek uratował „Brzaskowi” życie. Przed dotarciem do Żółkwi oddział partyzancki odłączył od kolumny uciekinierów i udał się do Kościejowa – ostatniej polskiej reduty w woj. lwowskim, tocząc po drodze zacięte walki z kilkoma sotniami UPA. Mieszkańcy Żółkwi przyjęli pogorzalców ze Stanisławki do swych domów, a po wkroczeniu Armii Czerwonej spotkał ich wszystkich ten sam tragiczny los. Sowieccy okupanci wygnali wszystkich na tzw. "ziemie odzyskane". Największą grupę do Warszawy pod Żorami w woj. śląskim, drugą mniejszą do Nysy i pomniejszych miejscowości powiatu nyskiego, kolejną zaś grupę na Pomorze. W ten sposób komuniści rozbili i rozrzućili po całym kraju jedną z „groźniejszych” w ich oczach grup kresowiaków. Pomimo tego wielu byłych żołnierzy 19. p.p. AK podjęło dalszą walkę zbrojną z komunistycznym okupantem, zasilając szeregi oddziałów partyzanckich - dziś nazywanych Żołnierzami Wyklętymi!

Po ewakuacji do Żółkwi hordy zdziczałych z nienawiści szowinistów przystąpiły do ostatecznej rozprawy ze Stanisławką... wieś została zrabowana i doszczętnie spalona, olbrzymi murowany dwór wraz z zabudowaniami rozebrany do fundamentów, studnie zasypane a sady wycięte. Stanisławka przetrwała jednak w sercach potomnych i pamięci garstki Polaków, którzy trwają na Kresach do dzisiaj!

Po tym bastionie polskości pozostały zgliszcza i porastający te zgliszcza las, a w lesie krzyż. Pod tym krzyżem na partyzanckiej mogile potomkowie pomordowanych i poległych spotykają się już od 20 lat. Tak też było w tym szczególnym roku - w równą 75. Rocznicę Bitwy o Stanisławkę. Pielgrzymi z Polski przybyli do Stanisławki pod biało-czerwonymi flagami i sztandarami. Uroczystą modlitwę poprowadził ks. proboszcz Igor Korzydło z parafii Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny i św. Antoniego w Mostach Wielkich.

Strażnik Narodowej Pamięci- wybitny działacz polskiej społeczności w powiecie żółkiewskim: Pan Marian Kładny i jego szanowna małżonka, przywitali pielgrzymów z Polski tradycyjnym kresowym karawajem (chlebem i solą) a konsul Rzeczypospolitej Polskiej we Lwowie – Pan Włodzimierz Sulgostowski odczytał przesłanie dla potomnych, kończąc znamienymi słowami: „Wierzimy, że pamięć o heroicznej obronie Stanisławki przetrwa na wieki".

"Kresowy Serwis Informacyjny" 1 maja 2019 r.